Nr. 12. Kraków, Grudzień 1918. Rok XII.

POLSKI SIEW



REDAKCYA I ADMINISTRACYA:

Kraków, plac Maryacki L. 2.
Telefon 483.

Prenumerata roczna 3 K. półrocznie 1 K 50 h.

Cena egzemplarza wynosi 25 halerzy.

TRESC NUMERU XII-go:

Walka, godna ciebie polski, katolicki chłopie.

Jednego dnia — było to w połowie października b. r. — wybrałem się koleją w drogę do pewnego miasteczka. Był to czas, w którym na podróż koleją odważał się tylko ten, kto ją musiał z konieczności robić. Stosunki na kolei bowiem były nieznośne. Pociągi kursowały w ograniczonych godzinach, wozów dla publiczności nie wojskowej było mało, a jadących mimo wszystko taka moc, że nielza było pomieścić się w wagonach. Szczęście nadzwyczajne spotkało tego, kto dostał siedzenie i mógł oprzeć strudzone nogi. Wszędzie ogromny nieład i niechlujstwo. Gdy człowiek patrzył na to wszystko, nasuwało mu się porównanie: oto ten pociąg jest niejako Austryą, obrazem Austryi. W całem rozpadającem się państwie korony Habsburgów wrzał bezład i chaos, chaos ten odbijał się we wszystkich dziedzinach życia, chaos ten uwydatniał się zwłaszcza na kolei. Austrya cała — to była jakby taka kolej, pełna nieporządku, pędząca na oślep w przepaść.

Zdawaćby się mogło, że taką koleją nikt nie pojedzie, prócz tych, co gwałtownie muszą się gdzieś dostać. Tymczasem nieprawda. Rzecz

dziwna, że wszystkie wozy były zawsze zapełnione, wprost nabite, ale nabite żydami. Cała kolej zapchana nimi, wszędzie, gdzie okiem rzucisz, żyd, nikogo prawie prócz żydów. Stoją oto naokoło ciebie w pejsach, szwargocą po germańsku, panoszą się śmiało, wyzywająco patrzą na ciebie — i pełno tobołów z sobą wiozą, kufry, walizy. Gdzie ich kilku postało czas jaki, tam smród i niechlujstwo... Niech będzie jak chce, ale do kultury to już chyba żyd nie może mieć pretensyi.

Wspominam o nich, bo pisząc o kolejach austryackich w czasie wojny, nie można o nich nie wspomnieć. Oni koleją jeździli z miasta do miasta, jeździli do Wiednia i gdzieindziej i uprawiali handel paskarski. Jest to rzecz znana. Bogacili się na nas, wyławiali nam z powiatów nabiał, zboże, mąkę i inne rzeczy i wywozili za granicę kraju. Więc wspomnieć o nich musi, kto chce mówić o swej podróży koleją w owym czasie; wspomnieć ich musi, bo ich wszędzie było pełno, oprócz na froncie. Wspomniałem więc o nich i ja, ale nie o nich zamierzam pisać.

Chcę pisać o rzeczy prostej, wcale nie ciekawej, i o tem, jakie wrażenie pod wpływem jej odebrałem.

W tym samym kolejowym wozie, co i ja, jechała kobiecinka, około 60 lat, wieśniaczka z jednej wsi pod Kętami. Zbliżyła się do mnie, przemówiłem do niej słów kilka, rzuciłem jej od czasu do czasu jakie słówko, zajęty zresztą czem innem. — Wkoło hałas i zamieszanie, szwargot żydów, ścisk okropny, pełno wszędzie czarnych, lśniących chałatów — a ona co czyniła? Cichutka, spokojna, nie zważała nic a nic na rwetes żydowski, na pakuły i toboły rozstrzepanych dzieci Izraela. — Usiadła sobie na ławeczce na kurytarzyku, gdzie zwykle konduktor siada, szczęśliwa, że jakie takie miejsce dostało się jej w udziale. Przychodzi jakaś żydówka i chce ją spędzić z tego miejsca, ona usuwa się, musiałem dopiero wkroczyć i rzec, by siedziała dalej. Cały świat zdawał się ją nie obchodzić. Spuściła powieki i była pogrążona w jakiemś rozmyślaniu. Ciekawy byłem, czem ona zajęta? Spojrzałem na nią i zaraz zrozumiałem. Zrozumiałem po wargach, zlekka i niedostrzeżenie się poruszających, że ona mówi pacierz — zobaczyłem w rękach ukrytą koronkę. Co jakiś czas odchodziła na koniec kurytarzyka, gdzie nie było żydów, uklękła i znów po chwili wracała na swe miejsce, ciągnąc dalej swe modlitwy. Byłem rozrzewniony. Gdybym tak mógł w tę chwilę wyjść z pociągu gdzieś na takie miejsce, abym był widziany przez tysiączne rzesze i gdyby mnie one mogły słyszeć, to wołałbym tylko i pokazywał wszystkim, że chłop nasz polski jest religijny, że chłop nasz kocha Boga prawdziwie. Byłem wzruszony.

Po przyjeździe na miejsce oznaczone, na drugi dzień, miałem Mszę świętą w kościele parafialnym. Był to czas największego żniwa zaraźliwej „hiszpanki". Księża jeździli nieustannie do chorych, dzień w dzień po kilka trumien wyprowadzali na cmentarz, pracy mieli po uszy. Po odprawieniu Mszy św., gdy już chciałem wyjść z zakrystyi, przychodzi ku mnie jakaś kulawa kobieta, mająca może ze 35 lat i prosi o spowiedź. „Bo wiecie, jegomość — rzekła — mam tę hiszpankę. Ledwiem przyszła z domu, zdaleka, żeby się wysłuchać. Okropnie mnie trzęsie to choróbsko. Chcę się jeszcze ostatni raz przed śmiercią wysłuchać". Wypowiedziała te słowa tak spokojnie, tak bez lęku i trwogi, że zdumiałem się. Oczywiście wyspowiadałem ją, ale długo mi ona stała w pamięci z tą swoją gotowością na śmierć. Pytałem sam siebie: czemu chłop śmierci się nie lęka? Chciałby nieraz żyć, jak Pan Jezus dadzą, ale jak taka wola Boska, to idzie na drugi świat tak lekko, jakby to było gdzie niedaleko, ot, jakby to było tyle, co przejść do drugiej izby. Czemu to chłop nasz jest taki? Bo ma wiarę, wielką, głęboką wiarę i wie, że jak umrze, to nie obróci się w nicość, ale że duch jego pójdzie do Boga i złączy się z Panem Jezusem.

Nasz chłop, nasza chłopka ma wiarę — powtarzam sobie i dziś. Od tego czasu minęło kilka tygodni. Od tego czasu runął cesarz, runęła Austrya, runął Wilhelm i Niemcy, a u nas po okolicach dokonały się napady, rabunki, zabójstwa i spalenia. I kto to zrobił? Nasz chłop, nasz polski chłop. Jak to, ten sam, co ma taką wiarę? co tak kocha Pana Jezusa?! Ten sam. W sercu robi mi się gorzko, nie umiem sobie tego wytłómaczyć. Ach, wiem, że żyd zawinił, że łupił z nas skórę w tej wojnie — ach, wiem, że się objał po szpitalach i krwi żydowskiej nie przelewał, wiem,

że żyd, to łupiskóra. Ale wiem także, że grzech jest grzechem, że rabunek i mord i napady i podpalenie są obrazą Bożą, są grzechem. Wiem o tem i dlatego mi gorzko i dlatego mi żal. Wiem, że chłopa do tego nawiedli źli ludzie, bolszewicy; wiem, ale wiem też, że chłop ma wiarę, a więc powinien się nie dać złemu, powinien wiedzieć, że to zbrodnia. Chłopie polski! ja nie bronię żydów, bo wiem, że oni zawinili bardzo. Chłopie, ja chcę, byś ty walczył z żydami, ale tak, jak ci twa wiara pozwala i nakazuje, nie zaś grabieżą i mordami. Ja chcę, chłopie mój, byś tak walczył, jak ci teraz wskażę, a mianowicie: nie kumaj się ze żydami, nie pchaj do żyda na służbę swego dziecka, niech katoliczka-Polka nie niańczy żydowskich dzieci, nie kupuj u żyda, nie pij! o nie pij u żyda! z daleka usuwaj się od żyda, nie zjednywaj ma swego wozu, ani swego konia, nie pożyczaj u żyda. Stwórz sobie we wsi przy porozumieniu się wzajemnem gospodarzy Kółko rolnicze, sklep Kółka rolniczego. Popieraj handel chrześcijański, postaraj się, aby ten handel wytrzymał konkurencyę żyda, wy zwłaszcza sklepikarze chrześcijańscy powinniście tanio sprzedawać towar. Zyskać na towarze coś musicie, bo z tego żyjecie, ale nie drzyjcie z ludzi zanadto. Taką ci, chłopie polski, walkę pokazuję, do takiej w imię Boga, w imię Jezusa Chrystusa wzywam, swój do swego, chrześcijanin do chrześcijanina, żyd do żyda. Ale nie bij żyda, nie morduj i nie pal żyda. Nie miej nienawiści ku niemu, tylko od niego zdala stój, nie odzywaj się do niego, nie chodź do niego. A ręczę ci, że żyda w ten sposób wnet ze wsi i z miasta wygonisz. To jest walka godna ciebie, polski, katolicki chłopie. a.

Nasze stanowisko.

Jesteśmy świadkami niebywałych przewrotów politycznych. Państwa, które dotąd pierwszą rolę odgrywały w życiu Europy, zachwiane klęską militarną dzielą się, rozbijają się na narodowe organizmy polityczne; ich ludność usuwa dotychczasowych władców, sama ujmuje ster rządów w ręce, by w ten sposób stworzyć w naszej części świata stosunki dogodne dla rozwoju wszystkich narodów. Gdyby się takie zmiany dokonały w innym czasie, np. na kongresie pokojowym, gdyby po wzajemnem porozumieniu się interesowanych nastąpiło takie urządzanie życia międzynarodowego, moglibyśmy bez troski patrzyć w przyszłość. Niestety stało się inaczej. Zanim walczące strony zdołały zebrać się na obrady, rozpadły się Austro-Węgry i Niemcy, a wcześniej jeszcze Rosya. A że ludności tych państw nie zawsze podobno dobrze się działo pod dotychczasowym rządem, więc czemprędzej zabrano się do wynoszenia z walącego się domu resztek mienia, zaczęto się niem dzielić natychmiast. Oczywiście przy takiej robocie i przy braku przewodnictwa musiały zajść nieporządki, a nawet wystąpiły antagonizmy między dzielącymi się (np. u nas z Rusinami i Czechami). Jakkolwiek więc teraźniejszość nie przedstawia się wesoło, a specyalnie u nas nieporozumienie z sąsiednimi narodami zawiera w sobie groźną zapowiedź, sądzimy jednak, że wspólne obrady pokojowe zdołają choć w części uspokoić ferment i zaognienie międzynarodowe. To też mimo wszystko wypadki ostatniego miesiąca niosą otuchę i nadzieję lepszej przyszłości. Wszak to wszystko, co się stało, stało się dla zapewnienia dobrobytu wszystkim narodom, dla umożliwienia im swobodnego rozwoju, dla ugruntowania ich wolności i samodzielności. To było pobudką i intencyą tych wszystkich przemian, — chrześcijańska zasada sprawiedliwości powszechnej kierowała niemi; ufajmy, że skoro narody raz zerwały z niewolą i do jej wyniszczenia przyłożyły rąk, nie ustaną, dopóki rzeczywista wolność i sprawiedliwość nie zapanuje w świecie.

Taka pierwsza ogólna uwaga. Przyznać trzeba — jak to wyżej stwierdziłem — że to dopiero przyszłość tak pięknie się przedstawia; teraźniejszość zaś — to zamęt, chaos, walka jeszcze. Tak jest u nas, w Polsce. Wojna w dalszym ciągu mimo, iż wojska z frontów wycofano, mimo, iż armaty wędrują do składów. Wojna zewnętrzna i domowa; a ta ostatnia pewnie najboleśniejsza. Poprostu zapomnieli nasi politycy o Ojczyźnie, a pamiętają jedynie o partyi; nie o to im chodzi, by wstającą z grobu Polskę wzmocnić silnym, jednolitym, prawym rządem, ale o to, by umocnić stanowisko swej partyi. Poszczególne stronnictwa, dzielnice tworzą na własną rękę rządy; był przecież czas, kiedy w Polsce istniało aż 5 rządów, które nawzajem do siebie wrogo się odnosiły. I któryż ostatecznie utrzymał się? Ten, który najwięcej obiecał, — ten, który wyszedł ze stronnictwa zawsze hojnego w hasłach i obietnicach, — rząd stronnictw socyalistycznych. Tak było u nas, w byłej Galicyi, zawsze: w czasie wyborów kiełbasa urabiała przychylność głosujących dla kandydata; dziś — wiadomo z powodu stosunków wojennych — zastąpiły ją szumne obietnice i na tę kiełbasę dało się wielu chwycić.

Wyrazem tych haseł, obietnic była odezwa, jaką wydał p. Daszyński po utworzeniu t. zw.

„rządu lubelskiego". Obiecano w niej ludowi zbyt wiele, tak wiele, że nawet stronnictwo ludowe nie mogło się zobowiązać do ich spełnienia. Ale choć szumny lubelski program schowano, wypłynie on znów wkrótce, — socyaliści będą znów obiecywali różne dobrodziejstwa ludowi polskiemu. Dlatego musimy wobec niektórych zająć stanowisko.

Nikt chyba dziś nie zaprzeczy, że trzeba przeprowadzić t. zw. reformę agrarną, tj. usunąć biedę chłopa kosztem wielkiej własności. Napracował się dotąd i nakrwawił rąk nieraz dla drugich; tuczył trzody cudze, a sam jadł jałowy żur. Nędza ostateczna robotnika również musi zniknąć, a dla jej zniszczenia warstwy wyższe muszą ponieść ofiary. Ale o sposobach, w jakich się to stanie, zadecyduje nie p. Daszyński, nie socyalizm nawet, jeno cały naród przez swoich posłów.

Natomiast z całym naciskiem musimy się już dziś zastrzedz przeciw antyreligijnej agitacyi, jaką stronnictwo socyalistyczne zaczyna. Z sąsiednich Czech płyną wieści, że tam dokonać się ma rozdział Kościoła od państwa. Tego chcą i u nas socyaliści. Czem to grozi? Wielu niebezpieczeństwami, z których tylko dwa wymienię.

Naprzód oczywiście po zerwaniu z Kościołem wprowadzi się przymusowe śluby cywilne; wyda się prawo, że ważne są śluby tylko wobec wójta czy burmistrza zawarte; kto zechce, pójdzie do kościoła po błogosławieństwo, a kto nie zechce, to mu wójt wystarczy. Małżeństwo stanie się zwykłym kontraktem, który po pewnym czasie można zerwać i z kim innym zawrzeć. Proszę sobie wyobrazić, jak straszne zapanowałyby stosunki!

Dalej przy rozdziale Kościoła od państwa nastąpiłoby usunięcie religii ze szkoły i to wprost p. Daszyński w swej lubelskiej odezwie powiedział: „dążymy do zeświecczenia szkoły". Czy sobie zdajecie sprawę z tego, co to znaczy? Dzieci, młodzież bez Boga, bez wiary! Czy wiecie, że niema wychowania bez wpływu religii? Powiedz dziecku: „nie kradnij!" Spyta cię: „dlaczego!" Co mu powiesz? Może: boto nie honorowo! Mogą cię złapać i będzie wstyd!" Można ukraść tak, by się nikt nie dowiedział, — a wtedy i kradzież się uda i honor będzie! — Ale powiedz mu: „nie kradnij, — bo Bóg zakazał, — On jest Królem, — ty staniesz kiedyś przed Nim!" Znakomity niemiecki wychowawca, W. Foerster, człowiek świecki, wprost powiedział, że najlepszym sposobem wychowania jest wychowanie religijne! Ale co dużo mówić, — najlepiej sami rodzice wiedzą, ile dobrego czyni religia dla ich dzieci.

Otóż obowiązkiem nas, katolików, dzisiaj jest jasno swoje katolickie przekonanie wypowiadać, w rozmowach, na wiecach wprost jako naczelną zasadę stawiać: poszanowanie religii katolickiej i uznanie jej w życiu publicznem! Nie mamy powodu wstydzić się jej, owszem szanowana przez naszych ojców niech będzie i naszą czcią otoczona. Z nią i przez nią idziemy ku przyszłości, na religii katolickiej opieramy budowę naszej Ojczyzny. Takie jest nasze stanowisko dzisiaj, — takie też jest stanowisko ludu polskiego, — taką jest jego odpowiedź na szatańskie kuszenia ludzi niereligijnych.

J. P.

Witajcie.

Skończyła się wojna. Tu i ówdzie jeszcze odezwie się strzał, tu lub tam ciągnie się jeszcze ruchawka, jak np. w naszym Lwowie, ale wojna, wielka, światowa wojna już skończona. Niemcy rozbite, zbrodniarz Wilhelm stracił koronę i będzie, zdaje się, pociągnięty do odpowiedzialności za mordy, jakie się z jego poleceń i za jego zgodą działy. Z upadkiem państw centralnych i z chwilą zawarcia zawieszenia broni, armie walczące na froncie przestają istnieć, żołnierze nasi wracają w progi rodzinne.

Szczęśliwi, którzy wracają. Wyszło ich tylu na bój, wyszły tysiące, ba, setki tysięcy. Niema chyba ani jednej rodziny, któraby nie wysłała kogoś na wojnę. Ilu z nich wyginęło. Tysiące a tysiące, ogromna moc. I do domu więcej nie wrócą. Tyle przecierpieli, znosili i chłód i głód, trapili się i tęsknili za domem i poginęli. Albo ich kula trafiła nieprzyjacielska, albo też tknęła ich śmiertelna choroba i zawiodła do grobu. I leżą na obcem polu, może nawet krzyżyka niema nad ich mogiłą.

Więc jakże szczęśliwi ci, którzy przecież mogli zginąć, zemrzeć, a nie zginęli, nie pomarli i oto wracają do rodzinnej chaty. Jakże szczęśliwi zaprawdę. Jakiemże sercem radosnem przyjmuje ich rodzina, ojciec, matka, żona, dzieci, bracia i siostry? Ulżyło wszystkim na sercu, już się nie będą trapić, że ktoś z pośród nich może być zabity. Znikną już nieprzespane noce, spokój nadejdzie i radość i wesele od chwili powitania ich w progach domu.

I my was wszystkich witamy. Gazetka nasza wychodzi na wasze spotkanie, o żołnierze, wychodzi z otwartemi ramiony i śle wam powitanie. Witajcie, o bracia! Zagośćcie się w domu swym już na zawsze, zrzućcie ze siebie karabin i sakwę

podróżną, i odpocznijcie po trudzie. Odpocznijcie, a potem znów do pracy się bierzcie, do pracy nie żołnierskiej już, ale do pracy szlachetnej — do pługa, rzemiosła lub książki. A jakże tam z waszą duszą, z waszą cnotą? Jakoż jest z waszym stosunkiem do Boga? Czy przypadkiem nie zapomnieliście o Nim? Co wy do domu przywozicie? Jeśli przywozicie cnotę i dobre serce, o dobrzy jesteście, Bóg wam zapłaci, iżeście wytrwali wiernie. Ale może są między wami tacy, co przywożą z sobą choroby, wstrętne, brzydkie, zaraźliwe choroby, nabyte skróś rozpusty. Może są tacy, co mają ducha zatrutego bolszewizmem, co nauczyli się na wojnie kraść i rabować i myślą, że to samo tu wolno czynić. Biada, jeśli kto takim powrócił. Winien się zaraz wyspowiadać i iść do lekarza. Bo pozaraża drugich, unieszczęśliwi drugich.

Wojna zepsuła świat straszliwie. Zniepraw iła i rozpuściła ludzi. Bóg wojnie położył koniec, karząc winnych. Zaczyna się pokój i praca. Trzeba wyrzucić z siebie wszystko złe, co wojna przyniosła. Trzeba zacząć pracę nad sobą, unikać grzechu, dobrze robić, modlić się i Bogu służyć. Do tego jesteście obowiązani wy, co wracacie z pola walki.

Wracacie do Polski — i ta Polska was wita w imię Boga. Pamiętajcie jednak, że Polska nie potrzebuje zarażonych, zgangrenowanych obywateli, silnych i tęgich ludzi potrzebuje Polska. Wychowujcie w tym duchu dzieci swoje i sami z nałogów się poprawcie. Takie jest powitanie Polski ku wam, tak was witamy wszyscy. Bądźcie nam mili i dobrzy, bądźcie pociechą naszą, bądźcie Polakami i katolikami, szukającymi Boga i służącymi zawsze Ojczyźnie i rodzinie. Witajcie!

Organizacya młodzieży a rodzice.

Jedną z najważniejszych spraw, która się dzisiaj prawie gwałtem nasuwa, jest wychowanie młodzieży męskiej. Po czterech latach wojny, która w wychownaiu tak straszne poczyniła szkody, widzimy jasno, że nie wiele możemy się spodziewać po naszem młodem pokoleniu, jeśli się niem nie zajmiemy więcej, niż dotąd. Faktem jest, że w dotychczasowem wychowaniu młodzieży, zwłaszcza męskiej, jest bardzo dużo zaniedbania. Dopóki chłopak uczęszcza do szkoły, jest jeszcze jako tako. Z chwilą jednak, kiedy opuści ławę szkolną, przekroczy lat czternaście, prawie nikt się nim nie zajmuje. Jeśli pozostaje w domu, przy gospodarstwie, to jeszcze pół biedy, bo oko rodziców czuwa nad nim i chroni go od wielu niebezpieczeństw. Kiedy jednak zmuszony jest opuścić dom rodzinny i szukać pracy wśród obcych, w fabryce, kopalni lub w jakimś innym zawodzie, pozostaje zwykle bez najmniejszej opieki. Zajęty przez tydzień pracą, w niedzielę szuka rozrywki gdzie się tylko da. Złe towarzystwa, wałęsanie się po nocach, pijatyka, karty, to zabawy, w których znaczna część młodzieży szuka przyjemności. Bo gdy raz zakosztuje z tego zatrutego źródła, jad i zgnilizna moralna coraz bardziej i głębiej zapuszcza korzenie i trudno znaleźć lekarstwo, by jej kres położyć. Nie pomagają wtedy ani próby, ani napomnienia rodziców, zło ziarno, przed którem nie broniono duszy kiedy był na to czas odpowiedni, przynosi przykre owoce.

Te smutne skutki zaniedbanego wychowania muszą zatrwożyć każdego, komu szczęście młodych dusz choć trochę leży na sercu. Nie wolno nam patrzeć spokojnie jak ta młodzież, w której tak wielkie pokładamy nadzieje, traci to, co dobre i szlachetne i ulega zaraźliwym wpływom zepsucia. Obowiązkiem naszym jest otoczyć ją troskliwą opieką, nie tylko w latach dziecięcych, ale i późniejszych, poza szkolnych, bo właśnie wtedy narażona jest na największe niebezpieczeństwa. Trzeba jej dać nie tylko uczciwą pracę, ale postarać się również o odpowiednią rozrywkę, by wolnych od zajęć chwil nie używała na swą własną szkodę.

Praca w tym kierunku już się rozpoczęła. Podjęło ją przed trzema laty duchowieństwo polskie i z pomyślnym dalej prowadzi skutkiem. Zakłada po parafiach stowarzyszenia katolickiej młodzieży męskiej, gromadzi w nich chłopców, przestrzega i broni przed niebezpieczeństwami, szerzy wśród nich zdrową oświatę, wyrabia na dobrych synów Kościoła i dzielnych członków społeczeństwa polskiego. Liczba stowarzyszeń i członków rośnie z każdym miesiącem. Jak wykazuje ogłoszone niedawno sprawozdanie, w samej dyecezyi krakowskiej istnieje już 91 stowarzyszeń młodzieży męskiej, które liczą blizko 7000 członków. Prawie w każdej parafii można widzieć jak w niedziele popołudniu schodzą się chłopcy w sali szkolnej lub własnej na zebrania, na które również przyjeżdża miejscowy ksiądz proboszcz lub katecheta, który stowarzyszeniem kieruje.

Tam słuchają wykładu lub pogadanki, śpiewają pieśni religijne lub patryotyczne, czytają odpowiednie książki i gazetki, przygotowują się do przedstawień, tam mają rozmaite gry towarzyskie, które dają rozrywkę, a nie przynoszą szkody. Kilka razy do roku przystępują wspólnie do spowiedzi i Komunii świętej, odprawiają dzo-

czne rekolekcye, specyalnie dla nich urządzone. Wszystko tam zmierza do tego, by bronić młodzież przed grożącemi jej niebezpieczeństwami, by ją nauczyć walczyć ze złem, by w niej wyrobić prawdziwie katolickie charaktery.

To też praca ta powinna znaleść uznanie i poparcie przedewszystkiem ze strony rodziców. Kapłan i rodzice powinni się tu chwycić za ręce i wspólnemi siłami prowadzić to wielkie dzieło wychowania młodego pokolenia. Bez pomocy rodziców praca ta nie przyniesie oczekiwanych owoców, bo spotka się z trudnościami, których sam kapłan prowadzący stowarzyszenie nie potrafi usunąć, a które mogą dobrej sprawie niezmierne szkody wyrządzić, nawet ją zupełnie udaremnić.

A w jaki sposób mają rodzice brać udział w tej pracy? Powinni przedewszystkiem poznać dobrze, co to jest to stowarzyszenie, do którego ich syn należy, czem się zajmuje młodzież na zebraniach, jak te zebrania, wyglądają. Tu nie wystarczy przeczytać coś o tem w gazecie, lub usłyszeć parę słów z ambony, ale trzeba przyjść na zebranie i własnemi oczami zobaczyć, co się tam dzieje. W każdem stowarzyszeniu jest w ciągu roku kilka zebrań uroczystszych, na które zaprasza się starszych; rodzice więc przedewszystkiem powinni brać w nich udział i to nietylko matki, ale i ojcowie. Obecność rodziców dodatnio wpływa na chłopców, pobudza ich do pracy, a w nich samych wyrabia przekonanie, że praca ta w czasach dzisiejszych jest koniecznie potrzebna.

Rodzice powinni się starać, by ich synowie zaraz po ukończeniu nauki szkolnej zapisali się do stowarzyszenia i na zebrania uczęszczali regularnie. Pod tym względem dobry ojciec i matka mogą przyczynić się niezmiernie do pomyślnego rozwoju pracy nad młodzieżą. Niejeden chłopak chętniej szuka rozrywki w gronie swych złych kolegów, niż w stowarzyszeniu, bo tam ma i karty i kieliszek i inne przyjemności, które schlebiają jego namiętnościom, a na które w stowarzyszeniu pozwolić nie można. Zamało ma jeszcze rozumu i doświadczenia życiowego, by poznał, że takie towarzystwa i rozrywki wyrządzają mu nieobliczalne szkody, że się kiedyś strasznie odbiją w całem jego życiu. Rodzice więc powinni użyć całego swego wpływu, by go odwieść od tego, co mu szkodzi, a skierować tam, gdzie może dużo zyskać. Niech każdy ojciec i matka spełnią ten swój święty obowiązek, a będą ich błogosławić nie tylko ich synowie, ale i kierownicy stowarzyszeń, bo w ten sposób poprą jak najskuteczniej ich trudną pracę, podjętą dla dobra młodzieży.

Może największą przeszkodą do pomyślnego rozwoju stowarzyszeń jest brak odpowiedniego domu i środków na jego utrzymanie, jako też trudności dojazdu do chłopców, jeśli wieś, w której jest stowarzyszenie, jest zbyt oddalona od kościoła. Sam ksiądz prowadzący stowarzyszenie nic tu nie zrobi, jeśli z pomocą nie przyjdą mu rodzice. Oni najskuteczniej mogą mu dopomódz do nabycia domu nadającego się na zebrania, zapewnić pewną ilość węgla lub drzewa na ogrzewanie sali w porze zimowej, co wobec wielkiego braku opału, jaki dziś wszyscy odczuwamy, jest bardzo wielką pomocą.

Tak samo ma się sprawa, gdy chodzi o ułatwienie dojazdu do chłopców. Ile to zebrań młodzieży nie doszło do skutku jedynie dlatego, że we wsi nie było nikogo chętnego, któryby pojechał po księdza i odwiózł go z powrotem. Nie byłoby tego z pewnością, gdyby wśród rodziców było należyte zrozumienie ważności tej pracy, bo na taką ofiarę mógłby się zdobyć każdy gospodarz, nie ponosząc przez to najmniejszej szkody.

Oto środki i sposoby, jakimi rodzice mogą i powinni popierać wychowawczą pracę w stowarzyszeniach młodzieży. Pomoc ta jest konieczną, bez niej usiłowania nasze nie przyniosą wielkich rezultatów. Jeśli dotąd nie była taką, na jaką zasługuje sprawa tak wielkiego znaczenia, należy to przypisać w znacznej mierze nieznajomości rzeczy. Dziś jednak, kiedy po trzech latach borykania się z trudnościami praca organizacyjna nad młodzieżą męską może się poszczycić pięknymi owocami, powinna znaleźć zupełne zaufanie i poparcie przedewszystkiem ze strony rodziców.

Złączeni razem, pokonamy piętrzące się przed nami trudności, spełnimy święty obowiązek, a praca podjęta dla chwały Bożej i szczęścia młodych, przyniesie obfite plony.

X. J. Śliwa.

Pogrzeb księdza.

W Krakowie, w jednym z ostatnich dni października b. r., popołudniu, zauważyć można było gromadki ludzi, zdążające ku szpitalowi św. Łazarza przy ul. Kopernika. Wszyscy zmierzali do kaplicy, położonej przy budynku szpitalnym.

W kaplicy ludzi mnogo. Przeważał lud wiejski, ale zauważyć można było i inteligencyę. W środku na katafalku leżała trumna, czarna metalowa trumna, naokół kwiaty i płonące kościelne świece. Kto to umarł? Czyja to była trumna? Skąd się zebrał ten lud, prosty, wieśniaczy lud? Czemu ten lud tak jakoś dziwnie wzruszony? Czemu by w oczach jego i taka wielka powaga na

twarzy, jakby go dotknęło coś bardzo ciężkiego? Jakby się stało coś bardzo ważnego?

Ta trumna, to śmiertelne łoże młodego księdza, Władysława Jettmara. Młodo umarł, bo miał zaledwie 32 lata. Urodził się w r. 1886 w Kyjowie pod Ołomuńcem na Morawach. Gimnazyum od r. 1900 aż do 1908 kończył w Wadowicach, gdzie też zetknął się z OO. Karmelitami, mającemi tam klasztor. Mieszkał nawet jako student gimnazyalny parę lat w klasztorze, mając zamiar wstąpienia do zakonu Królowej Karmelu. Zamiar ten uległ później zmianie i po skończeniu szkoły średniej znalazł się Jettmar w seminaryum krakowskiem. Wyświęcony w r. 1912 na kapłana, objął posadę wikarego we Wróblowicach. Pierwszy rok pobytu na placówce zszedł na rozpatrywaniu i poznawaniu terenu, na którym mu przyszło pracować. Poznał odrazu ś. p. ksiądz Jettmar, że nie wystarczy mu tylko spowiadać ludzi, msze odprawiać dla nich, uczyć ich na ambonie i odprowadzać na cmentarz, że trzeba iść między nich, szczególnie między młodych. Młodych przedewszystkiem ukochał młody wikary. Mimo licznych przeszkód założył stowarzyszenie młodzieży, któremu odtąd poświęcał każdą niedzielę. — Dzięki jego trudom i dzięki temu, że umiał pociągnąć młodych chłopaków do siebie, Stowarzyszenie rozwinęło się znakomicie. Marzeniem ks. Jettmara było zbudować im osobny, stowarzyszeniowy dom.

W roku 1914 ksiądz Jettmar zostaje przeniesiony z Wróblowic do Radziszowa, gdzie został mianowany administratorem. Tu rozwinął dużą działalność — w kółkach rolniczych i Stowarzyszeniach, nie mówiąc już o kościele. Był on z tych księży, co kościół i pracę religijną w kościele uważają za najświętsze swe powołanie, ale z drugiej strony są nadto świadomi, że to nie wystarczy — że trzeba iść do domów robotniczych i domów młodzieży i tam trzeba uczyć, oświecać, szerzyć kulturę chrześcijańską. Rok tylko był w Radziszowie, zdziałał tam jednak wiele. Radziszowianie, co patrzeli na jego pracę, dobrze wiedzą, że ilość przyjmujących Komunię św. pomnożyła się za niego i pamiętają jego pełne ognia kazania, których słuchali z zapartym oddechem. Żal też ich ogarnął, gdy ks. administrator został przeniesiony w r. 1915 do Gorzkowa pod Wieliczką, już jako ekspozyt. Stanowisko jego tutaj miało być już więcej samoistne, miał na niem zupełną swobodę rąk.

W Gorzkowie zastał kościół nowy, nieskończony. Przystąpił zaraz do pracy nad jego wykończeniem i przyozdobieniem. Sam przytem świecił żywym przykładem, nie szczędził ni kosztów ni trudu, co tak zachęciło parafian, że posypały się liczne ofiary. Pomimo drożyzny wojennej kościół był po upływie roku zupełnie gotów. Pracował nad wyrobieniem i podniesieniem duchowem swych owieczek. Pracował w organizacyach młodzieży, chłopców i dziewcząt, które i tutaj powołał do życia. Radością wielką dla jego kapłańskiego serca były roczne rekolekcye, urządzane w poście dla chłopców stowarzyszonych. Zgromadzały one u stóp ołtarza nie tylko młodzież, ale i starszych, ba, nawet osiwiałych wielickich górników. Założył także Kółko rolnicze, w stowarzyszeniu chłopców stworzył orkiestrę, pragnął jeszcze założyć mleczarnię. Sam popierał katolickie pisma i wyrabiał u ludu zmysł do czytania.

Jakież było jego życie? Nawskróś kapłańskie. Dbał o swą duszę, oddał się pracy nad duszami głęboko drugich. A jednak... jednak nie czuł się jeszcze zupełnie i całkowicie w swym żywiole. — Pragnął iść do zakonu, chciał być Karmelitą, myślał, że wnet będzie mógł to uczynić. Bóg zrządził inaczej. Umarł na „hiszpankę" po krótkiej, lecz ciężkiej chorobie, zaopatrzony św. Sakramentami, umarł prawdopodobnie tylko dlatego, że chory będąc, jeździł zaopatrywać innych chorych. Był bowiem sam, wiemy zaś jak wielka ilość ludzi chorowała w tych czasach, on nie mógł wytrzymać na łóżku, nie pozwoliło mu sumienie. — Padł, jako ofiara swego obowiązku, swego powołania — na placówce. Chorego odwieziono za wolą i pomocą Księcia Biskupa Sapiehy do szpitala św. Łazarza do Krakowa, gdzie miał mieć lepszą opiekę. Lecz było już zapóźno. W piątek rano w dniu 25. października oddał Bogu piękną duszę swoją.

Pogrzeb miał się odbyć w niedzielę popołudniu. Ciało miało być złożone na cmentarzu krakowskim. Lecz oto, co się stało. Przyszedł lud jego z Gorzkowa i zażądał wydania zwłok. Lud chciał go mieć między sobą, przy swoim kościółku. Lud pokazał, jak go pokochał. Miał ksiądz Jettmar pewną wrodzoną sobie szorstkość

powną chropawość i twardość, wyrażającą się w sposobie wymawiania i w zachowaniu. Sądziłby kto, że to przeszkodzi mu w zbliżeniu się do ludu i w pozyskaniu ich serc. Lecz pod powłoką szorstkości drgało złote, pełne ofiarności serce — i ono rozwiązało tajemnicę, ono zdobyć umiało dla siebie lud. Jak ten lud był do niego przywiązany, pokazało się na pogrzebie. Jakby im jaki ojciec umarł, jakby ktoś bardzo drogi i ukochany a bezpowrotnie stracony, tak płakali, tak się koło trumny skupiali. Widok to był rozdzierający serce. Niechby był przyszedł jaki niedowiarek lub socyalista na ten pogrzeb i zobaczył, co się dzieje — miałby dużo, dużo do myślenia i do zastanowienia się nad sobą i nad wartością swej nauki. Z kościółka przy szpitalu św. Łazarza wyprowadzono ciało zmarłego na Podgórze, a stamtąd wozem, przybranym w choinę i kwiaty na miejsce wiecznego spoczynku do Gorzkowa. Za trumną postępowali parafianie, między innymi także chłopcy ze stowarzyszeń. Na drugi dzień złożono ją w grobie, wymurowanym tuż przy kościele. Tam czekać będzie ciało zmarłego tej chwili, gdy w ostateczny czas odezwie się trąba, wzywająca na sąd. Duch jednak — wolno nam ufać — duch księdza Władysława odszedł po nagrodę do Boga, odszedł od swych oddanych owieczek do nieba, by tam pamiętać o nich i modlić się za nich. Gorzkowianie, ufajcie, że macie w nim orędownika przed Bogiem. (s).

U nas tak mówią: „Po chrzcie idzie wiara,
Po głowie czeladź — a po grzechu kara;
Po biedzie statek — obyczaj po rodzie,
Po pracy spokój — a już chleb po głodzie;
Kto się bić lubi, tego i pobiją,
Kto często krzyczy, tego nikt nie słucha,
Kto się nie myje, tego nie obmyją;
Gdzie nie władniesz okiem, tam już dołóż ucha
Gdzie nie dołożysz ni ręką, ni okiem,
Tam nadstaw grzbietu, albo dołóż workiem".

Wincenty Pol.

Czy zapisałeś się już do „Towarzystwa popierania prasy i wydawnictw katolickich"? Możesz to uczynić, przesyłając wkładkę roczną 2 korony pod adresem biura „Tow. pop. prasy katol.", Kraków, plac Maryacki l. 2.

Adwent.

Już Adwent... za nim w ślady Święta!
Już święty Andrzej zabawia dziewczęta,
Co w szczodry wieczór wróżby niezniszczone
Znów zaczynają. A co za podskoki
Kiedy do chatki zawita wysoki
Nasz organista z nosem granatowym,
Z którego na Mszy taki ton wspaniały
Wyciąga zwykle, że kościół drży cały
I na talerzu podając cynowym,
W różnych kolorach prześliczne opłatki,
Powinszowanie palnie co się zowie.
Jakże nie skakać, jak nie klaskać w dłonie?
Kochane Święta, ot, ot widać prawie!
Już nawet rybę łapano na stawie;
Jutro, pojutrze gwiazdeczka zapłonie;

I znów rok idzie zwyczajną koleją
Na krosnach życia, jak wątek osnuty,
To dni powszednie: a Święta jaśnieją,
Jak gdyby z cudnych złotych kwiatów rzuty...
Bo to my w prostym żywocie wieśniaczym,
Wszystko i liczym Świętami i znaczym.
Wszystkie wesołe czy smutne przygody,
Wojnę, pomorek i pogrzeb i gody,
Gospodarz do świąt stosuje swe trudy;
Nim co rozpocznie, to Świąt pyta wprzódy.

Adam Pług.

Listy Szymka z pod Gancarza

do Czytelników „Polskiego Siewu".

Moi Kochani!

W moim pierwszym liście, pisanym do Was za pośrednictwem listopadowego numeru „Polskiego Siewu", pożaliłem się przed Wami, że kilku nieproszonych doradców zachęcało mnie, abym zaprzestał prenumerowania i czytania tej naszej kochanej religijnej gazetki. Radzili mi oni, abym sobie raczej zaprenumerował jakąś inną gazetę, którąby mi więcej opowiedziała o światowych nowościach i przygodach. Ale że to z niektórymi ludźmi lepiej mniej mówić, bo upartego trudno samemi słowami przekonać, więc rozprawiłem się z jednym najbardziej upartym mądralą w ten sposób, że wyciągnąłem ze stolika kilka gazet czysto świeckich i pokazałem mu, że mi mój religijny „Polski Siew" bynajmniej nie przeszkadza w czytaniu świeckich gazet. Mądrala uczuł się widać zaskoczonym tego rodzaju moją obroną, bo nie wiedział zrazu, coby mi teraz powiedzieć. Niby mu o to chodziło, że ja czytając religijną gazetę, widocznie nie czytam już innych gazet i nie wiem, co się na świecie dzieje. Tymczasem

teraz przekonał się, że ja również i o tem czytam i dowiaduję się, co się na świecie dzieje.

Jednakże w ciągu dalszej rozmowy okazało się, że temu mądrali o co innego chodziło. Jemu nie tyle chodziło o to, abym ja coś o świecie wiedział, lecz abym wogóle religijnej gazety nie czytał. Bo powiada między innemi, że „my dość mamy tych pobożności, co je słyszymy na kazaniach w kościele“.

Hola, braciszku! W tych swoich ostatnich słowach ujawniłeś jeszcze większą swoją głupotę!

Każdy człowiek, co ma w sercu choćby iskierkę wiary, przyznać musi, że religia jest nietylko ważną rzeczą, ale najważniejszą. Religia bowiem uczy nas, jak mamy Pana Boga poznawać i jak mamy Mu służyć, aby zbawić się na wieki.

Pytam tedy, jaka rzecz i jaka nauka może być dla człowieka ważniejszą od religii?...

Są rozmaite na świecie nauki. Począwszy od nauki pisania i czytania, dochodzą ludzie do coraz wyższych i trudniejszych nauk, z których jedne uczą o dziejach narodów, zamieszkujących ziemię, drugie o roślinach, zwierzętach, minerałach i przeróżnych zjawiskach, spotykanych na ziemi, inne badają nawet gwiazdy, księżyce i słońca, inne nauki uczą o przeróżnych językach, jakimi mówią rozmaite narody, inne nauki uczą, jak uprawiać rolę, by dobrze rodziła, jakie urządzać maszyny, jakie fabryki do wyrabiania rozmaitych rzeczy i tak dalej...

Ale każdy człowiek, któremu rozum w głowie się nie pomieszał, przyznać musi, że ponad wszystkiemi temi naukami góruje nauka o Panu Bogu, czyli religia.

Ponad religię niemasz wyższej i ważniejszej dla nas nauki!

Owszem! Nawet człowiek pozbawiony wiary, gdyby się troszeczkę zastanowił, musiałby przyznać, że najważniejszą nauką jest religia. Dlaczego?... Zaraz Wam to wyłuszczę! Może niejeden z Was, Kochani Czytelnicy, spotkał się w życiu z człowiekiem niewierzącym czyli niedowiarkiem. Taki niedowiarek żyje zazwyczaj bezbożnie i nie wiele robi sobie z tego, że za to wszystko może go spotkać kara. On nie ma w sercu mocnej wiary w tę karę za grzechy. Ale czy ten niedowiarek jest pewny, że go żadna kara za grzechy nie spotka? Albo, gdy ten niedowiarek mówi zuchwale, że on w Pana Boga nie wierzy, czy on jest tego pewny, iż Pana Boga niema? Albo, gdy ten niedowiarek plecie, że niema żadnej nieśmiertelnej duszy, że to tylko „para“ z człowieka wyjdzie przy śmierci, — czy ten niedowiarek może być pewnym, że tak jest, jak jemu się plecie? Nie! Żaden niedowiarek nie jest pewnym tego, że niema Pana Boga, ani duszy nieśmiertelnej, ani kary za grzechy. On tylko wątpi we wszystko. Nie mając silnej wiary, nie wierzy tak w Pana Boga, jak człowiek religijny, tylko wątpi, tylko pociesza się, że może też niema Tego Sprawiedliwego Sędziego, może też niema tej kary za grzechy, może też niema tej duszy. — Niedowiarek, wątpiąc w prawdy religijne, podobny jest do człowieka, który sobie zawiązał oczy i idzie naprzód w zapamiętaniu, nie zważając na to, że wcześniej czy później napotka jakiś dół, głębię i przepaść, w którą runie i głowę sobie rozbije. Czy ten człowiek z zawiązanemi oczyma może być pewnym, że pędząc naprzód, nie napotka nigdzie przepaści? Takasamo, czy niedowiarek może być pewnym, że nie runie kiedyś w straszliwą jeszcze przepaść, w którą go pogrąży śmierć? — Nie!

Obaj ci ludzie działają bez zastanowienia, postępują gorzej jak zwierzęta, bo nawet zwierzę nie będzie się samochcąc rzucać w przepaść na niechybną zgubę. Ten człowiek, pędzący naprzód z zawiązanemi oczyma, gdyby się choć trochę zastanowił, wstrzymałby się w tem bezmyślnem postępowaniu i oczy odwiązałby sobie. Podobnież i ten niedowiarek, spędzający życie bez uwagi na przepaść, w którą go może śmierć pogrążyć, gdyby się choć trochę zastanowił, doszedłby do przekonania, że oczy duszy trzeba sobie odwiązać, że trzeba rozważyć, bo może jest Pan Bóg, może istnieje dusza nieśmiertelna, może jest kara za grzechy. A w ten sposób, nie mając jeszcze dobrej i silnej wiary, będąc jeszcze wątpiącym niedowiarkiem, już zastanawiałby się nad religią, już uznałby, że jednak tej religii lekceważyć nie można, że celem rozwiązania najważniejszych dla człowieka zagadnień trzeba się do tej religii uciec, bo żadna świecka nauka tych zagadnień rozwiązać nie potrafi, — a tem samem już stwierdziłby ów niedowiarek, że jednak religia jest nauką najważniejszą.

A jeżeli tak jest, jeżeli religia jest rzeczywiście najważniejszą dla człowieka nauką, to czyż można przyganiać temu, który zajmuje się religią nietylko w kościele, ale i poza kościołem? Czyż można przyganiać temu, który wysłuchawszy słowa Bożego, głoszonego z ambony, stara się wiedzę religijną pogłębić czytaniem religijnych książek, gazet i innych wydawnictw?

Owszem! Ośmielam się twierdzić, że w dzisiejszych czasach powinni się ludzie więcej kształcić w wiedzy religijnej, aniżeli kiedykolwiek indziej. Im więcej świat postępuje w kulturze zewnętrznej, materyalnej i wogóle świeckiej, tem więcej dbać należy o rozwój kultury wewnętrznej, religijnej. Im więcej dziś ludzie czytają świeckich gazet, im więcej biorą udziału w życiu świeckiem, tem więcej powinni równocześnie dbać o wiedzę religijną i o wprowadzanie w życie zasad religijnych.

Potrzeba dobrej znajomości religii jest dziś

widoczną z innego także względu. Świat postępuje nietylko w kulturze materyalnej, ale i w kulturze społeczno-politycznej. Dziś już nie królowie będą samowładnie rządzić, ale same ludy mają się sobą rządzić. Jakie będzie to przyszłe polityczne i społeczne życie narodów? Zależeć to będzie od samychże obywateli przyszłych państw narodowych! Jakie będzie polityczne i społeczne życie Polski? Czy ustawy i prawa będą zgodne z prawami Bożemi, czy to życie polityczne i społeczne Polski będzie się podobało Panu Bogu, czy to życie i rządzenie się państwa polskiego będzie oparte na zasadach chrześcijańskich? Wszystko to zależeć będzie od tego, czy w Polsce będą jej obywatele należycie przejęci kulturą religijną, czy będą mieli dobre zrozumienie zasad chrześcijańskich. Jeżeli więc kiedy, to dzisiaj powinniśmy wszyscy dbać gorąco o rozszerzanie wiedzy i kultury religijnej zarówno za pośrednictwem religijnych książek, jak religijnych gazet i katolickich czasopism!

Żeby Was zbytnio nie trudzić, zostawiam sobie dalsze pisanie do następnego numeru, a tymczasem pozdrawiam Was serdecznie i życzę Wam wesołych świąt. Wasz Szymek.

Święta i szczęśliwa młodość!

Jest w krakowskim kościele św. Barbary, w jednym z bocznych ołtarzy śliczny portret św. Stanisława Kostki; święty młodzieniaszek ma głowę lekko wzniesioną w górę, ku niebu, w którem tak często myślami przebywał, które za życia tak kochał, a którem tak tęsknił, iż mu się wyrwały słowa: Brzydką jest mi ta ziemia! Poza tem uduchowieniem oblicza dostrzegamy na portrecie i inny jeszcze wyraz — ledwo dostrzegalny uśmiech, jaki krasi wargi świętego; jest to znak owej wewnętrznej radości, pokoju, wesołości, jaka była właściwą świętym wogóle, a w szczególności naszemu świętemu młodzieniaszkowi. Jednem słowem — patrząc na ten obraz mimowoli rodzą się jakieś radosne, a święte myśli, rodzi się świadomość, jak szczęśliwą jest święta młodość. To też często, zwłaszcza w dniu 13. listopada, i w czasie nowenny do św. Stanisława można piękny ujrzeć widok: u stóp portretu świętego klęczy jeden, kilku studentów; główki zadarte w górę, bo oczy równocześnie wpatrzone w promieniejącą blaskiem radości jego twarz, usta szepcą cichutko paciorki, serdeczne westchnienia do Patrona młodzieży. Nieraz byłem świadkiem i widzem takiego obrazu i głęboko tem wzruszony myślałem sobie: jest porozumienie ciche, a silne i serdeczne między młodzieżą katolicką a religią, między nią dalej a świętym Stanisławem — rozumieją się dobrze: ten chłopiec, w którego duszę świat zepsuty sączy już może kroplę po kropli jadu goryczy, w którego duszy czerw zepsucia rozpoczyna już może pracę zniszczenia cnoty i radości — i ten święty, co zawsze był wesołym, którego dusza była jak pieśń wesoła chwaląca Boga i Jego dary. Rozumieją się: młodość i święty Stanisław — rozumieją się, bo ich jedno wspólne młodości pragnienie łączy: wesołość, szczęście; bo to, czego młodzież pragnie — radość, posiadł święty młodzieniec. Przypatrz się więc, młodzieży, dobrze życiu świętego młodzieńca, zastanów się nad źródłem, z którego wypłynęła jego radość, bo i ty pragniesz w młodych latach być szczęśliwą i wesołą!

Patrzyliście, młodzi przyjaciele, nieraz na kwiaty, które rosną w waszym ogródku, pielęgnowane rękoma waszych sióstr, lub te, które spotykacie po innych publicznych ogrodach. Jak się to one wychylają ku słońcu — gdyby miały ręce, toby je ku niemu wyciągały — zato swoje barwne kielichy skierowują w jego stronę, rozchylają je, nabrać chcą w nie jak najwięcej ciepła rozkosznego, światła! Patrząc na nie, skąpane w promieniach słońca, cieszymy się, bo czujemy, że im dobrze, że to dobre słonko potęguje w nich życie — że gdyby zdolne były do odbierania wrażeń, jak zwierzę lub człowiek, toby odczuwały zadowolenie i szczęście. Oto młodzież jest takim rosnącym ogodem kwiatów; tak, jak one, potrzebuje i młodzież słońca, jakiegoś ideału, w którym mogłaby swoje dusze nurzać, jak kwiat w promieniach słońca, — któryby wlewał w nią czczytne, wzniosłe życie, jak ciepło słońca pędzi kwiaty w górę, rozwija bujnie i zdrowo. Wyjmijcie roślinę z pulchnej ziemi ogrodu, wsadźcie ją w błoto; zgnije, zmarnieje na zawsze. Podobnie stanie się z dzieckiem, któremu życie zabierze wiarę Boga, a róść każe w błocie zepsucia i bezbożność. Musieliście zapewne, szczególnie starsi, spotkać w mieście gromady małych dzieci, których całe życie upływa na ulicy wielkiego miasta; gonią one po rynsztokach, zbijają bąki po brukach, zaczepiają przechodniów, z ich ust padają szkaradne, buńczuczne nieraz słowa — alkohol, tytoń takim 6-letnim chłopcom są przyjaciółmi; nawet niedziela nie zmienia nic w trybie ich życia; inni przywdziewają wtedy czystą bieliznę, jakiś lepszy ubiór, idą do kościoła, gdzie ich owiewa jakaś niebiańska atmosfera błogości: wracają do domu lepsi, szlachetniejsi. A tamci nic, — tak niedziela, jak poprzedni dzień zastaje ich nad rynsztokiem! Nie wiem, czyście zauważyli, że te dzieci właśnie nigdy się nie śmieją! Bo nie nazywam śmiechem owego wzgardliwego wydęcia ust, które towarzyszy brudnym, płaskim dowcipom, puszczanym bezczelnie przez małych „andrusów"; aż przykro patrzyć na tak uśmiechniętą dziecinną twarz — aż boleść chwyta serce na ten widok, bo to jest szyderstwo, a szyderstwo w ustach dziecka jest

takssamo czemś nienormalnem, jak jest niem palony przez nie papieros. Śmiech prawdziwy — to jest jakieś radosne wzruszenie, które aż w głębi duszy wesołe budzi echo. Takiego śmiechu szczerego brakuje tym biednym istotom z suteryn miejskich. Czy nie widzicie, że są te dzieci podobne do roślin, które mróz zwarzył? Zielenią się jeszcze, ale już woń niemiła od nich idzie — przeznaczone są nie do życia, lecz na zatracenie. Takiemi są te dzieci miejskie, chowające się na ulicy miast naszych! Cóż im uśmiech z warg wykradło? Ta błotnista, cuchnąca atmosfera zepsutego miasta — brak słońca religii, brak czystości duszy! One to: wiara i czystość, czyli świętość — są źródłom radości, tej radości, tego serdecznego śmiechu, którego młode serce pragnie!

Właśnie dlatego rozumieją się: młodzież i św. Stanisław! Bo miał on tej wesołości, pogody ducha dużo, bardzo dużo. Nigdy go nie widziano smutnym, — a jeżeli płakał, to powodem też była radość. Zawsze pogodny, uśmiechnięty przesuwał się cichutko w pośród ludzi w domu rodzinnym, w Wiedniu na studyach, w Rzymie, gdzie w zakonie św. Ignacego, w zakonie OO. Jezuitów udoskonalał się w cnotach. Źródłem zaś tej pogody ducha była jego dziecięca pobożność. On bowiem nie zasadzał się na trudzie, jej nakazów nie uważał za ciężar, który trzeba dźwigać, ale za miły stosunek dziecka do Ojca w niebiesiech: ta czysta dusza rwała się w modlitwie do Boga, jak się wyrywa dziecko do objęć dobrego ojca. Dlatego modlitwa nie ciężyła mu — owszem nieraz przedłużał ją, — a, gdy wstawał od niej, to z jego twarzy biła jakaś nieziemska jasność, radość wewnętrzna. Takim pozostał przez całą młodość, — takim radosnym zastała go śmierć, na twarzy zostawiając uśmiech szczęśliwego dziecka, które wie, że do Ojca wraca!

Te kilka uwag o źródle szczęścia napisałem dla was, młodzi przyjaciele! Niech was one pobudzą do kochania wiary i czystości, bo bez nich nie będzie wasza młodość świętą, a wskutek tego nie będzie i wesołą. Wiedzcie, że życie was czeka ciężkie, obowiązki trudne, przeciwności wielkie, może i nieszczęścia bolesne, bo od nich nikt nie jest wolnym. Trzeba wam więc za młodu nabrać w serce dużo radości, wiele pogody ducha, wiele słońca i czystego powietrza cnoty, byście wśród burz wieku dojrzałego nie opuścili rąk, ale znosili trudy, łamali przeszkody. Ta siła szczęsnej młodości, to wspomnienie jasnych dni młodości podwoi waszą energię — rozpłomieni wolę, umocni ramię do ciężkich obowiązków, jakie wam przypadają. Zakończę słowami poety A. Asnyka, który w późnym wieku z radością odnawiał wspomnienia jasnej młodości, wspomnienia kołyski:

Na szary życia zmrok,
rozbicia straszną noc,
zachowaj ducha moc
i jasny dziecka wzrok.
Niech ci wspomnienie kołyski
przyniesie matki uściski —
na szary życia zmrok!

Ks. J. P.

MARYA STUDNICKA.

Królowej Dziewic!...

Na chmurnem niebie błysła jutrzenka
Zorza już wschodzi — promieniem lśni
Przed Panną Czystą dusza ma klęka
O Jej piękności przecudnej śni...
O! wstępuj myśli w rajskie podwoje
Porzuć twe troski, smutki i znoje.

Patrz! oto niebo w radości płonie
Na święto Maryi całe się stroi
Orszak dziewiczy w białości tonie
I o uczczeniu swej Pani roi:
Niepokalaną czci Polska cała
Ona nam Wolność i Polskę dała!...

Niepokalana — Dziewic Królowo
Tyś nam Ojczyznę dała na nowo
Spraw niechaj Polki — te dziewic kwiaty
Czystości serca przywdzieją szaty!
Niepokalana — oblecz nas w cnoty
Niech w Polsce kwitnie znowu wiek złoty.

Niepokalana! czysta lilio!
Ty najpiękniejsza z Dziewic — Maryo!
Przeczystej życia krynico wody
Spraw, niech Cię wielbią wszystkie narody
Niechaj Cię Polska uczci miłością,
Cnotami ojców — zgodą, jednością!...

Łakomstwo dzieci.

Iluż to ludzi jest po miastach i po wsiach, o których każdy powiedzieć musi: to hulaka albo: to pijak, albo to rozpustnik. I skąd się tacy biorą? Niejeden ojciec i matka ani nie przypuszczają, że to oni właśnie swe dzieci na takie hulaki wychowują, przez to, że je przyzwyczajają do łakomstwa.

Cóż prowadzi dzieci do łakomstwa?

Matki nie zawsze lubią porządek. Nie jest to porządek, gdy w domu nie ma w swoim czasie śniadania, obiadu i wieczerzy. Kiedy kto może i jak może, tak się żywi. Matka ciągle daje coś dzieciom, to chleba, to ziemniaka, to cukru, to mleka, a one zawsze głodne i tak, jak myszy, zawsze zaglądają do garnków, do szuflady, do skrzyni i tam bułkę, tu cukier, tam mleko, tu chleb zjadają. Czasem zginie kilka centów ze szuflady albo z kieszeni matki, ale za to znajdzie

się w kieszeni córki lub synka ciastko, cukierek, pomarańcza. Matka albo o tem nie wie (bo jest licha matka), albo wie, ale powiada sobie: „Jak wyrośnie, to zmądrzeje".

Bywa też obiad i jedzenie w swoim czasie, ale mimo to matka ciągle coś w dzieci wpycha, czy się im jeść chce, czy nie chce.

Tak to dzieci uczą się zawsze coś żuć, zawsze jeść, zawsze swój język łakociami łechtać, a to już prosta droga do hulanki w starszym wieku.

Lubią też matki znosić do domu łakocie. Ile razy taka matka idzie do sklepu, do miasta, na jarmark, do kościoła, na odpust, zawsze znosi do domu dla dzieci: cukry, obwarzanki, ciastka. To jest źle, bo się dzieci do tego przyzwyczajają, a jeżeli im matka nie da, to będą po kryjomu pieniądze z domu wynosiły, łakocie kupowały. Za młodu łakocie, później trunki.

Czasem może matka dzieciom sprawić przyjemność i kupić im łakoci, ale to tylko rzadko, aby się do tego nie przyzwyczaiły.

Niech matka nie obiecuje ciągle dzieciom łakoci, bo tak rozbudza w dzieciach pragnienie tych rzeczy i to przekonanie, że niema na świecie nic lepszego ponad te rzeczy.

Jeżeli dziecko samo się domaga cukierków lub ciastek, matka niech nigdy nie dogadza jego kaprysom, ale niech powie dziecku: „Czekaj cierpliwie, aż ci sama dam".

W żaden sposób nie mogą dopuścić rodzice, aby dziecko przy jedzeniu grymasiło: to chcę, tego nie chcę. Jeżeli nie chce jeść, niech go nie zmuszają, ale czego innego niech mu nie dają. Głód je wnet zmusi, że zje to, co dostanie.

Raz chłopiec nie chciał jeść fasoli, ale odstawił miskę i nie jadł. Bez jedzenia poszedł do szkoły. Gdy wrócił, matka to samo postawiła przed nim. Odszedł z płaczem, że mu się jeść nie chce. Gdy przyszedł wieczór, znowu postawiono przed nim fasolę. Teraz już głód zrobił swoje, chłopczyk ładnie zjadł fasolę i z grymasu się uleczył.

Gdy dzieci posyłasz do sklepu, niech ci się wyrachują co do centa. Jeżeli zaś dasz im pieniądzo, by sobie co kupiły, pytaj, co kupiły, aby zamiast chleba nie kupowały łakoci albo papierosów.

Czuwaj matko, aby dzieci po kryjomu nie brały ci pieniędzy. Możesz być pewną, że gdy będziesz na to patrzeć przez palce, dzieci będą wynosiły później z domu zboże, jaja, a gdy tego braknie, będą kradły i nauczą się złodziejstwa, marnotrawstwa, pijaństwa, rozpusty. Pamiętajcie rodzice, że małe i miłe są złego początki, ale koniec smutny.

My z sobą gwałtym, a czas skrzydło plechy
I słowa goni i chwile powiewne.

X. Adam Naruszewicz.

Z czem stanę na sądzie Bożym?

(Zdarzenie prawdziwe).

Leżał na łóżku, złożony śmiertelną chorobą. Szerokie piersi jego ciężko podnosiły się w górę, z trudem wciągał w siebie powietrze. Wielkie, jasne oczy, utkwione nieruchomo w jeden punkt, wskazywały, że chory coś pilnie rozważa. W całym domu panował dziwnie poważny nastrój, którego nikt nie śmiał zamącić. Domownicy i schodzący się licznie sąsiedzi, przechodząc koło izby, w której leżał chory, przyciszali swoje kroki, przerywali rozmowy, by nie psuć rozważań gotującego się na śmierć.

Za chwil kilka miał przyjechać kapłan z Panem Jezusem, by po raz ostatni obmyć duszę chorego z grzechów i posilić Ciałem i Krwią Zbawiciela, by wolna od naleciałości ziemskich mogła ulecieć spokojnie przed tron Najwyższego Sędziego. Na głos dzwonka wszyscy uklękli i pochylili ku ziemi czoła, żona chorego z płonącą świecą w ręku wprowadziła pod dach swój Niebieskiego Gościa. Chory drgnął, ostatkiem sił podniósł się z poduszek i oddał pokłon utajonemu Bogu. Kapłan złożył Najśw. Sakrament na stole przykrytym białym obrusem, pokropił wodą święconą izbę i chorego, odmówił modlitwy, a następnie usiadł przy łóżku, robiąc znak krzyża nad chorym. Rozpoczęła się spowiedź rzewna, pełna żalu, spowiedź ostatnia w życiu. A gdy skończył wyznawać swe winy, odpoczywał na chwilę, a następnie tak zaczął mówić: „Pięćdziesiąt siedm lat przeżyłem na tej ziemi i wkrótce mam się przenieść do wieczności. Nie lękam się śmierci, boję się tylko sądu Bożego. Kiedy pomyślę, że muszę stanąć w obliczu Boga i zdać rachunek z całego życia, strach mię ogarnia. Z czem ja tam pójdę, co powiem na swoją obronę?

„Kiedy byłem chłopcem, chciałem koniecznie być księdzem. Miałem ojców zamożnych, z łatwością mogli mi na to pozwolić. Prosiłem ich nieraz na kolanach, by mnie posłali do szkoły, ale daremnie. Byłem sam jeden, nie chcieli mnie dać z domu, życzeniem ich było, bym został na roli. Zostałem więc przy gospodarstwie. Z początku pasłem bydło, potem byłem za parobka, po śmierci ojca objąłem całe gospodarstwo. Pracowałem uczciwie, nie chciałem, by czyja krzywda ciążyła na mojem sumieniu. Pan Bóg mi błogosławił, w domu moim nigdy nie było biedy. Mimo to nie miałem w duszy spokoju. Całe życie niepokoiła mnie myśl, z czem stanę na sądzie Bożym. Przez dzień, kiedy byłem zajęty pracą, jeszcze było jako tako. Ale kiedy wieczorem udałem się na spoczynek, nieraz całemi godzinami nie mogłem oka zmrużyć. Cisza panowała wokoło, wszyscy w domu spali, ja jeden nie mogłem zasnąć, myślałem

co to będzie z człowiekiem, kiedy przyjdzie zdać rachunek z całego życia. Całe życie, od rana do nocy dla siebie człowiek pracuje, żeby mu na tym świecie było dobrze, nie ma nawet czasu, by się pomodlić, by w niedzielę wysłuchać Mszy świętej. I jak tam iść po takiem życiu, jak stanąć przed Panem Bogiem z próżnemi rękami?! O gdybym był tem, czem być pragnąłem, czuję, że byłbym spokojny o swoją duszę".

Tu przestał mówić, a wielkie łzy poczęły się toczyć po twarzy. Począł się modlić i korzyć przed ukrytym pod postaciami chleba majestatem Bożym, a po chwili przyjął do serca swego Pana Zastępów. Uspokojony obecnością Boga w sercu swojem, począł oczekiwać zawołania Pańskiego. I nie upłynęło kilka godzin, a piękna jego dusza opuściła ten świat i uleciała w niebieską krainę po zasłużoną zapłatę. A choć nie było mu danem służyć Bogu przy ołtarzu, wierną służbą przy pługu wyjednał sobie nagrodę kapłaństwa. Naśladujmyż go i my także. Pytajmy się w wolnych chwilach siebie samych, jakie mamy zasługi przed Bogiem i z czem staniemy na sądzie Bożym. Myśl ta, pytanie to z pewnością nas uświęci.

Ks. J. Śl.

Pieśń do Dzieciątka Jezus Księcia Pokoju!

(melodya: Cześć Maryi.)

Cichc, Dobre Jezus Dziecię,
Z niebios spieszy bram,
Miłość, pokój na tym świecie,
Idzie szerzyć Sam...

Wzniosłeś Rączki, Boże Dziecię,
W Serce patrzym Twe,
Okaż ludziom dziś na świecie,
Miłosierdzie Swe...

Tyś ukochał małe dzieci,
Gdyś na ziemi żył,
Dziś ich prośba w niebo leci,
By wnet pokój był...

Cóż Dzieciątko nam odpowie?
Tylko rączki złóż,
Dziatwo, moi Aniołowie,
Niosą pokój już...

„Patrz! mój krzyżyk, jaki duży,
Dobrej myśli bądź!
Z płaczem siejesz, a po burzy,
Wesół będziesz żąć"...

X. S, K.

Bóg nie opuści.

Smutne były święta Bożego Narodzenia w roku 1917. Straszna nawałnica wojenna prawie na każdy dom sprowadziła żałobę, zabierając najdroższe sercu osoby. Za stołem wigilijnym były miejsca puste, na widok których krwawiły się serca i łzy zalewały oczy. Tu opłakiwano ojca, tam syna, gdzieindziej po kilka osób brakowało w rodzinie.

A do tego głód coraz bardziej dawał się we znaki. Rok był suchy, plony marne, a czego słońce nie wypaliło, gwałtem zabrano i wywieziono do obcych. Kto miał kawałek ziemi, gospodarstwo, dawał sobie jeszcze radę, bronił się biedzie. Kto jednak nawet swego dachu nie miał nad sobą, a cały majątek stanowiły to dziesięć palców, dla tego przed Bożem Narodzeniem nastały dni strasznego przednowku. Trzeba było wyciągnąć trzymany na czarną godzinę grosz, sprzedać ostatni łachman i dać na szczyptę zboża, na miarkę ziemniaków.

Po wsiach zamożniejszych widać było codziennie gromadki ubogich kobiet, jak pokurczone od zimna, z tobołkami pod pachą, szły od domu do domu prosząc, by im odstąpiono choć trochę żywności. Bardzo często zamiast pomocy otrzymywały odpowiedź: idźcie gdzieindziej, u nas także bieda, zresztą potrzebujemy dla swoich. Szły więc dalej smutne, często zapłakane, bo i głód im dokuczał i zimno dawało się we znaki, a w domu czekały dzieci, ciesząc się, że dziś, gdy matka wróci, pojedzą sobie lepiej, niż zwykle. Na samą myśl, że trzeba będzie wracać z niczem do domu, że temu maleństwu nie będzie co dać, boleść wzbierała w sercu, a łzy gwałtem cisnęły się do oczu. Dobywały więc ostatka sił i odbywały dalej tę smutną wędrówkę za chlebem, póki nie udało się coś kupić lub nawet wyżebrać.

U Tomaszowej bieda była większa, niż gdzieindziej. Dopóki mąż był w domu, było jeszcze jako tako. On pracował i zaganiał jak tylko mógł, ona też się nie leniła do pracy. Z chwilą jednak, kiedy i on musiał iść do wojska i smutne nastały dla niej czasy. Została sama z sześciorgiem drobnych dzieci; na nią spadł cały ciężar utrzymania rodziny.

Trzeba było zapłacić komorne, okryć siebie i dzieci, starać się codziennie, co dać temu biedactwu, by nie cierpiało głodu. Gotówki w domu nie było, a na zasiłek trzeba było czekać kilka miesięcy. Rozpacz gwałtem wciskała się do serca biednej matki na widok smutnej przyszłości.

Co pocznę teraz, mówiła sama do siebie, zalewając się łzami.

W domu jej zrobiło się smutno i ponuro. Gdyby była sama, zniosłaby wszystko spokojnie, ale patrzeć na tę gromadkę obdartych dzieci, sły-

rzeć ciągle ich płaczliwe prośby o kawałek chleba, widzieć jak twarzyczki ich z każdym dniem stają się coraz mizerniejsze, tego nie mogło znieść jej macierzyńskie serce.

Powoli jednak zaczęła otucha wstępować do jej serca.

Przecież nie sama jednak znajduję się w tem smutnem położeniu, mówiła do siebie, są i inne kobiety, które również nic nie mają, a jakoś żyją.

Zabrała się do pracy, ufając, że Pan Bóg nie opuści jej w tej biedzie. Modliła się tylko więcej, niż zwykle, prosząc gorąco za sobą, za dziećmi, za mężem. Modlitwa stała się teraz jedyną jej pociechą, w niej czerpała moc i siły do znoszenia ciężkiego losu.

Powoli przeszedł jeden tydzień i drugi, mijały miesiące, a Tomaszowa co kilka dni wychodziła do okolicznych wsi, by kupić zboża lub ziemniaków, a choć trudno było coś wyprosić, przecież nigdy nie wracała z próżnemi rękami. Gdy zabrakło pieniędzy, szukała pomocy u zamożniejszych sąsiadek, które ceniąc jej poczciwe serce, jak mogły, wspomagały ją w potrzebie.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia.

Każdy, jak mógł, przygotowywał się na nie, w niejednym domu panowała radość, bo ojciec lub syn zapowiedzieli, że przyjadą na urlop.

U Tomaszowej jednak było bardzo smutno.

Mąż, który do niedawna prawie co tydzień posyłał listy, od kilku miesięcy przepadł gdzieś bez wieści. Do tego wstrzymano jej zasiłek z niewiadomych powodów. Chodziła do starostwa, przedstawiała, że nie ma z czego żyć, że jej wypadnie chyba najpierw dzieciom, a potem sobie życie odebrać, jednak napróżno. Chcąc się ratować przed śmiercią głodową, sprzedała ostatnie mające jaką taką wartość przedmioty, bo i pożyczyć już nikt nie chciał. Tak ciężkich chwil nie miała jeszcze od początku wojny, jak te tygodnie przed świętami. Zdawało się, że wszystko przeciwko niej się sprzymierzyło, że już tego nie przetrzyma.

Przed samą wigilią zabrała ostatni grosz, jaki miała i poszła na wieś, by kupić choć parę ziemniaków na święta. Zaglądnęła do wszystkich domów, gdzie tylko spodziewała się coś dostać, wszędzie jednak spotkała się z odmowną odpowiedzią. Nie zniechęcała się tem jednak. Choć serce krajało się z boleści, szła dalej, popłakując z cicha i prosząc Boga o miłosierdzie. Już i wieczór nadszedł, a jeszcze nic nie miała. Nie chciała przecież zadarmo, chciała zapłacić tym opłakanym groszem, a nikt nie chciał go przyjąć.

Postanowiła nie wracać do domu z próżnemi rękami, bo poco tam iść, by patrzeć na zgłodniałe dziatki i nic im nie pomóc.

Przenocowała u jakiejś biednej kobiety, a rano ruszyła dalej. Koło południa udało się jej wyżebrać dwie miarki ziemniaków i trochę żyta. — Uszczęśliwiona wzięła to na plecy i ruszyła w drogę. Czuła się słabą, bo od wczoraj prawie nic w ustach nie miała, ale szła, bo tam w domu czekały głodne dzieci. Biegła prawie, chwiejąc się pod ciężarem i dziękując Bogu, że jej przecie nie opuścił.

Już była blisko wsi, kiedy niespostrzeżenie zaszedł jej drogę żandarm. Zanim się spostrzegła, już stał przy niej i surowym głosem pytał: „co tam niesiesz kobieto?". A gdy z przestrachu nie mogła przyjść do słowa, ściągnął z niej worek i sam zbadał jego zawartość.

Tomaszowa stała jak wryta, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co ją czekało. Po chwili usłyszała głos: „Bierz to i marsz na posterunek!" Teraz zrozumiała co to znaczy. Zaczęła go prosić, że przecież nie kupuje na handel, ale dla dzieci, które ledwo dyszą z głodu. Padła mu nawet do nóg, błagając o litość, by jej nie odbierał tego, co z takim trudem zdobyła. Nic nie pomogło. Zaciekły żandarm kopnął ją nogą, a wygrażając jej pięściami, krzyczał: „Wstawaj prędzej i bierz to, bo jak nie, to ci pokażę, co to znaczy słuchać!".

Wstała, a wziąwszy ciężar na plecy, szła, gnana niby jaka zbrodniarka.

Może się jeszcze ulituje nademną, myślała sobie po drodze i dalej ponawiała swoje prośby.

Ale gdzietam. Na posterunku kazał jej zostawić ziemniaki i zboże i czemprędzej się wynosić, jeśli nie chce, by ją zamknął do kozy. A gdy jeszcze chciała coś mówić, chwycił ją za ramiona i z całą siłą wyrzucił za drzwi.

Znalazłszy się na drodze, ograbiona ze wszystkiego, nie wiedziała nawet, co się z nią dzieje. Chciała się wrócić i upomnieć się o swoje, nie mogła jednak ruszyć się z miejsca. Taką boleść i żal czuła w swem sercu, że się jej zdawało, że już tego nie przetrzyma.

Po chwili ruszyła z miejsca i powlokła się ku wsi. Szła blada, znękana, wydając z siebie żałosne westchnienia. Było już ciemno, nikt jej nie widział. We wsi był spokój, tu i ówdzie zasiedli już do wigilijnego stołu. Widok ten jeszcze zwiększył jej boleść. Jej dzieci nie będą miały co do ust włożyć, nawet się nie połamie z niemi tym świętym opłatkiem, bo i tego nie miała.

W domu było ciemno i cicho, jakby tam wszystko wymarło. Weszła, nikt nie wyszedł na jej spotkanie. Dzieci głodne i znużone wyczekiwaniem matki, pokładły się gdzie mogły i spały. Nie budziła ich, nie chcąc im robić zawodu, a sobie zwiększać cierpienia.

Usiadła w kącie i pogrążyła się w myślach o swym strasznym losie. Nawet się modlić nie mogła, rozpacz pochłaniała jej duszę.

Rano obudziło ją stukanie do drzwi. To sąsiadka, która już nieraz ratowała ją w ciężkich

chwilach, przyszła się dowiedzieć, co się z nią dzieje. Widząc, w jak strasznym znajduje się stanie, domyśliła się czegoś złego, a nie pytając się o nic, pobiegła prędko do siebie. Po chwili wróciła, niosąc chleb i trochę ciepłej strawy dla niej i dla dzieci. Wkrótce zjawiły się i inne, a dowiedziawszy się wszystkiego, każda z czem mogła spieszyła na poratowanie nieszczęśliwej rodziny.

Tomaszowa, patrząc na te dowody opieki Bożej nad nią, nie mogła słowa przemówić. Z oczu płynęły jej tylko rzęsiste łzy, już nie rozpaczy, lecz dziękczynienia, że Bóg nie opuścił jej, ale przez swe wierne sługi okazał nad nią miłosierdzie. J. Śl.

Sen Kabyla w rowie strzeleckim na zachodnim froncie bojowym.

Niedawno — opowiada pewien Biały Ojciec, który we francuskim etapie służy jako pielęgniarz — przyprowadził do mnie ksiądz polowy algierskiego strzelca, który przybył na urlop z frontu. Powiedziano mi, że jest on Kabylem, chce zostać chrześcijaninem i szuka kogoś, coby rozumiał jego mowę. Gdy się ksiądz oddalił, opowiedział mi strzelec dość biegle po arabsku swą historyę.

— Pochodzę z okolic Ben-Ismail — mówił — rodzice moi umarli i mam już teraz 25 lat. W roku 1906 poszedłem do Michelet i uczyłem się tam u kowala rzemiosła. Ale wieczór i noc spędzałem zawsze u Białych Ojców w Uarsen. Uczyli mię oni katechizmu, a w rok potem poszedłem do Algieru, aby się tam jeszcze lepiej tych rzeczy nauczyć. Ale nie dostałem jeszcze chrztu i poszedłem w r. 1911 do wojska. Parę lat służyłem w Marokku, a od r. 1914 jestem we Francyi i uczestniczyłem w wielu walkach, bez wypadku zranienia.

W latach swej służby wojskowej zapomniał młody Kabyl prawie zupełnie tych prawd wiary, jakich się niegdyś uczył. Ale „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś Maryo“ pamiętał jeszcze, a myśli jego wracały nieraz przez morze do Algieru i skalistych gór ojczyzny. Wtedy to nadeszła godzina łaski.

— Siedzieliśmy w rowie strzeleckim Crouy — opowiadał dalej — blisko Soissons, pod gwałtownym ogniem, a większość mych towarzyszy było rannych lub zabitych. Wspomniałem wtedy te czasy, gdy mieszkałem w Michelet i u Ojców z Uarsen uczyłem się wiary katolickiej. Jednego wieczoru zapadłem w sen, zmęczony strasznym ogniem granatów. Była to noc z 22 na 23 grudnia. Miałem wtedy dziwny sen.

Przede mną płynęła szeroka, rwąca i głęboka rzeka. Olbrzymi most był przez nią przerzucony, a po drugim brzegu ciągnęły się piękne ogrody, wśród nich domy i wyniosłe drzewa.

Nagle ujrzałem nadjeżdżające trzy duże orszaki.

Pierwszy składał się z Arabów z wspaniałym jeźdźcem na czele. Ten wjechał na most, a za nim cały orszak. Ale most się załamał, Arabowie wpadli w wodę i rzeka ich ze sobą poniosła. Most potem zaraz przybrał postać dawną.

Następnie wjechał orszak drugi. Składał się on z Mozabitów (mahometańskich Berberów). Zaledwie ci przybyli na most, ten załamał się znowu i wszyscy się potopili.

Teraz nadeszła trzecia grupa. Na czele jechał Ojciec, który dawał mi nauki w Uarsen. Za nim jechali misyonarze, których znałem, ale też i wielu innych, których nigdy jeszcze nie widziałem, za nimi wreszcie wielka liczba chrześcijan Kabylów, dorosłych i dzieci. Ojciec popędził konia ostrogą i skoczył na most, znowu naprawiony, a za nim poszli inni. Zbliżyła się potem i Matka P. ze swemi Białemi Siostrami i z grupą kabylskich dzieci.

Gdy ujrzałem Ojca z całym orszakiem wchodzącego na most, chciałem się do niego przyłączyć, ale Matka P. zawołała mię po imieniu i rzekła: „Ty nie należysz do naszych“. Ja jednak nie usłuchałem i razem ze wszystkimi przeszedłem szczęśliwie rzekę.

Jednemu tylko się to nie udało. Był to chrześcijanin jeden z naszego szczepu. Ożenił się po katolicku, ale tę pierwszą swą żonę wypędził i wziął inną mahometankę. Gdy przechodził przez most, wpadł do wody i fale go uniosły.

Na drugim brzegu znaleźliśmy piękne ogrody. Chciałem podejść, by je podziwiać.

Nagle granat padł koło mnie i wybuch jego obudził mię ze snu.

Sen ten uczynił jednak na mnie wielkie wrażenie.

Wspaniałe te ogrody, to był Dżennet (raj). Widziałem to wyraźnie, zaś arabski jeździec na koniu, to był Mahomet, który wraz ze swymi wyznawcami dostał się do piekła.

Od tego dnia ciągle modliłem się do Boga, by mi dał sposobność nauczenia się i zostania katolikiem.

Tak brzmiało opowiadanie Kabyla, którego Bóg tak dziwną drogą do chrześcijaństwa doprowadził. Do wielu twardych serc wojaków przemawiało tak może na froncie Dzieciątko Jezus w noc swego narodzenia, przynosząc pokój do serc. Ale czy wszyscy to wołanie słyszeli w gwarze walki i czy wszyscy za niem tak wiernie poszli jak ten nasz syn z gór kabylskich?

(Misye Katolickie).

WYDAWCA KS. LUDWIK KASPRZYK. ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: KS. ST. SAPIŃSKI

Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie.